

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

3 — Podobno bardzo ładna?
— Co tam ładna!... Ładna!... Nasza pokojówka, Joasia, jest także ładna, z czego nie wynika jeszcze, żeby miała zostać moją synową. Po cienkich, nieco bezkrwistych wargach Loli przewinął się lekki, niedostrzegalny prawie uśmiech. Panienska rzuciła na matkę ukośne spojrzenie i po chwili zapytała znowu:
— A co będzie, jeżeli Konrad mimo wszystko zaimar swój wykona i ożeni się z nią i przywiezie ją tutaj?

Groźne błyskawice gniewu zamigotały na twarzy pani Żarnickiej.

— Nie ośmieli się! — powiedziała twardo i zamykając kredens, powtórzyła, jakby sama do siebie:

— Nie ośmieli się!

Lola miała pod tym względem pewne wątpliwości, nie wypowiedziała tego jednak głośno.

— Lolu, idź już, połóż się. Doktor kazał, żebyś wcześniej chodziła spać.

Lola posłusznie wstała z krzesła.

Kiedy nazajutrz rano pani Żarnicka przyszła o zwykłej porze na śniadanie, Konrada nie było w jadalni.

Lola krzątała się koło maszynki z kawą, a w kącikach jej ust czaiły się jakieś tajemnicze uśmiešky.

— Poproś pana Konrada na śniadanie. — zwróciła się pani domu do pokojówki, która w tej chwili wniosła pieczywo.

— Kiedy proszę pani, pana Konrada nie ma...

— Jakto nie ma? Wyszedł już?

— Pan wyjechał gdzieś rannym pociągiem... Kazał zapakować sobie czarne ubranie i kazał mi oddać ten list.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni fartucha list w zaklejonej, białej, podłużnej kopercie.

Pani Żarnicka uczyniła nagle gardłem ruch taki, jakby się zachłusnęła.

Jedna żyła na jej czole spęczyła dziwnie i nabiegła krwią.

Duże oczy otwarły się jeszcze szerzej i zniechęciły.

Pierś zaczęła falować szybko, gwałtownie.

Jednak panująca zawsze nad sobą kobieta nie zapomniała o tem, że w obecności służącej nie wolno się jej zdradzić ze swoim gniewem.

Odechnęła głęboko i wyciągnęła rękę po list.

— Dobrze, możesz już iść do kuchni. — wy rzekła spokojnie, trochę wszakże zmienionym głosem.

ROZDZIAŁ III.

— Józia! Gdzie ty latasz na taki psi czas i to wieczorem?... Przeziębisz się i jeszcze jaką zaraźliwą chorobę do domu przyniesiesz!... Ale tybyś kiedy o czem rozsądnie pomyślała!...

— Niechże się ciocia nie boi!... Nic mi nie będzie!... Nie przeziębę się, nie zachoruję, żadnej choroby cioci nie przyniosę!...

— A to co znowu za waryackie gadanie!... Mówisz, jakbyś z Panem Bogiem kontrakt zawarła!... Każdy może zachorować!

Józia wzruszyła niecierpliwie ramionami. Zdjęła żakiet i czapkę futrzaną i powiesiła je na wieszadle w małym, ciasnym przedpokoiku, słabo oświetlonym niewielką kuchenną lampką.

— Mogłabyś przynajmniej otrzepać żakiet ze śniegu... — pouczyła ciotka — Zniszczysz go, a nie masz przecież dziesięciu żakietów, ani sefek, naszykowanych, żeby sobie sprawić nowy.

Ponieważ Józia nie spieszyła się jakoś, żeby wykonać polecenie, panna Antonina Korzewska wyciągnęła sama swoją kościstą rękę po żakiet. Oczyściła go starannie ze srebrzystych, topniejących, gwiazdeczek śniegowych i wygładziła troskliwie ciemno-granatową materię i futerko kołnierza.

Siostrzenica wszakże nie skorzystała z tej poglądowej lekcji czystości i porządku, bo zniknęła już w głębi przyległego pokoju.

Pokój ten, który służył jednocześnie za jadalnię i salonik, a także i w nocy za sypialnię dla Józii — był dosyć obszerny. Ciasno w nim

było jednak i duszno od mnóstwa przeróżnych gratów i gracików.

Przepelniały go krzesła i wyścielane fotele, stołeczki i tabureciki, szafki, stoliki i półki, dywaniki i różnego rodzaju i wielkości albumy, figurki gipsowe i porcelanowe i rozmaite „robótki“ paciorkowe, szydełkowe, siatkowe i haftowane.

Na ścianach formalnie kawałka wolnego miejsca nie było, tak je zawieszono dywanikami o deseniach, przedstawiających jakieś apokaliptyczne zwierzęta i niebyswałe kwiaty, fotografiami w wachlarzach, w ramkach i bez, kartkami widokowymi, chińskimi parasolkami, papierowymi kwiatami, reprodukcjami, po większej części z pism wydartymi, jakimiś oleodrukami, które nosiły podpisy: „Połów ryb“, „Faust i Małgorzata“, „Polowanie na jelenie“, „Wieśniacy tyrolscy przy zabawie“ i tym podobnymi.

Naczelne, jakby honorowe miejsce zajmowała ogromna, przepaścista kanapa, kryta jaskrawą materią w turecki deseń.

Nad kanapą tykał głośno, poważnie, piękny staroświecki zegar — jedyny w tym pokoju przedmiot, przedstawiający większą wartość artystyczną. Toteż nie harmonizował wcale ze swoim otoczeniem.

Wogóle całe to umeblowanie robiło wrażenie przypadkowej zbieraliny, tak jakoś jedne sprzęty nie były dostosowane do drugich.

Jeden fotel kryty był zielonym rypsem, inny wyłaczany z czerwonym pluszem — jeszcze zaś inny dość kosztowną jedwabną materią, koloru „starego złota“.

Krzesła klóciły się pomiędzy sobą kształtem, jakością drzewa i barwą. Chińsko-japoński parasolik oceniał reprodukcję „Hołdu pruskiego“. Oleodruk, przedstawiający jakichś międzynarodowych myśliwych w krótkich spodniach i czerwonych czapkach — w pogoni za jeleniem, wisiał obok portretu Kościuszki. Portret był zresztą najlichszy, jaki sobie wyobrazić można. Porcelanowe, dosyć wdzięczne figurynki rokokowych pasterzy i pasterek ustawiono razem z kotkami, pieskami i barankami z cukru.

Wszystko to zaś razem miało wygląd czegoś spłowiałego, wyblakłego, sztywnego, jakby zaszuszonego. Małą nutą świeżości wplatały się w tą niegustowną całość — tylko śnieżnobiałe firanki u okien i wazoniki z zielonemi, kwitnącemi roślinami.

Na jednym z foteli leżał wygodnie duży, czarny kot i leniwie spoglądał zielonemi, przy mrużonymi ślepkami.

Józia usiadła w fotelu, wzięła kota na kolana i zaczęła gładzić puszyste futerko zwierzęcia. Kot wyginał grzbiet, mruczał z zadowoleniem i zgrabną swoją główkę ocierał o suknię dziewczyny.

Baczny obserwator mógłby spostrzedz, że pomiędzy pieszczotliwym, łaszczącym się, ładnym zwierzęciem i pochyloną nad niem dziewczyną istnieje jakieś podobieństwo.

Może polega ono tylko na tem, że Józia ma tak miłutko zaokrągloną „kocią“ bródkę i taki kształtny, krótki, o ruchliwych nozdrzach, nosek, albo też może jest coś w jej wyrazie twarzy i ruchach, co przypomina aksamitną, przymilną, pieszczotliwą koteczkę, która jednakże w każdej chwili gotowa jest wykonać niespodziewany skok lub nawet do krwi zadrapać.

Rumieńce ożywienia i wesole błyski oczu, jakie Józia przyniosła do domu, przygasły teraz, a świeże i śliczne, jak kielich pysznego purpurowego kwiatu, usta wyduły się gniewnie, czy niecierpliwie.

— Cóż to? Panna w złym humorze wraca do domu? — zapytała panna Antonina, prostując swoją chudą postać w sukni w wielkie szkockie kraje. Suknia była bardzo obcisła i przez to uwydatniała kościste kształty, zapadła pierś i szpiczaste ramiona starej panny.

— Odezwać się nawet nie raczysz? Cóż to znowu za fochy?

— Cóż ciocia chce żebym mówiła? — rzuciła Józia i spokojnie dalej głaskała kota.

— To ciekawe, odkąd tyś się taka milcząca zrobiła, bo zwykle terkoczesz jak młyn.

— Jak mnie ciocia zaraz na wstępie tak mile przywita, to i od mówienia ochota odchodzi.

— Proszę! To już żadnej uwagi zrobić nie wolno! Tobie zamało zwracano uwagi i w tem właśnie cała bieda.

— Już tam takie uwagi to najwięcej pomogą! — mruknęła niewyraźnie siostrzenica.

— Co tam mruyczysz? — spytała ciotka, po-

dejmując z kanapy porzuconą przed chwilą włóczkową robotę na drutach.

— Ei! Nic...

— Jakto nic? Przecież słyszałam, że coś mówiłaś... Zawsze pełna tajemnic, zawsze skryta!... Józia podniosła na ciotkę ze zdziwieniem oczy i uśmiechnęła się.

— Co też ciocia mówi... Ja jestem skryta?

Panna Korzewska już sama spostrzegła się, że powiedziała niedorzeczność, bo zwykle zarzucała siostrzenicy zbytnią, nierozsądną często, dziecianną szczerość i twierdziła, że „ta narwana Józka toby swój grzech śmiertelny wszystkim wypaplała“.

To też, nie podejmując tej kwestyi, rzuciła nowe zapytanie:

— Gdzieżeś ty siedziała do tego czasu?

— Przecież jeszcze nie jest tak późno. Dopiero siódma godzina.

— A tybyś może chciała o dwunastej w nocy wracać do domu?... O! Moja panienko, u mnie tak nie można!... Jak Kazia była u mnie, to z nią żadnego kłopotu nie miałam. Nie zachciewało się jej wychodzić wieczorem samej...

— Kazia, to dzieciak jeszcze, a ja jestem dorosła...

— No, jak ty byłaś w wieku Kazi — ciągnęła dalej ciotka, pilnie poruszając drutami — to już niejedna z tobą była awantura. Zresztą dorosła panna tem więcej o swoją opinię dbać powinna. Ale może mi nareszcie powiesz, gdzieś była... Czy to tajemnica?

Ciemne, subtelnymi łukami narysowane brwi Józii ściągnęły się, tworząc na białem czole cienutką, ledwie dostrzegalną fałdkę. Jasne oczy błysnęły zniecierpliwieniem.

— Oj! Niechże ciocia nie nudzi. Skądże znowu tajemnica? Byłam u Rogoziewiczów i koniec.

— Tak? A po co ty tam ciągle chodzisz? Lepiejbyś haftowała ornat do kościoła, który zaczął. Już ksiądz proboszcz o niego pytał...

— Przedewszystkiem, wcale nie ciągle chodzę! — odpowiedziała Józia, pomijając milczeniem wzmiankę o ornatcie dla księdza proboszcza — Ostatni raz byłam tam cztery dni temu. Powtóre, dlaczego miałabym do Rogoziewiczów nie chodzić, kiedy mi to przyjemność sprawia, a nikomu nic nie szkodzi.

Druty w kościstych, żółtawych palcach panny Antoniny zaczęły się szybciej poruszać.

— Hm... no tak... ale trzeba także zważać na to, co ludzie powiedzą.

— A cóżby mieli do powiedzenia o tem, że ja się trochę pobawię, pośmieję z rozkosznymi dzieciakami, pogadam z Rogoziewiczem i pożartuję z panią Kornelią. W tem chyba nie ma nic złego.

Panna Antonina utkwiała bardzo pilnie swoje szaro-niebieskie wyblakłe oczy w popielatą przędzę robioną na drutach szalika i dopiero po chwili powiedziała, nie patrząc na siostrzenicę:

— To się tobie tak zdaje. A tymczasem ludzie inaczej myślą. Już całe miasto mówi o tem, że ty z Rogoziewiczem... że Rogoziewicz w tobie... Rozumiesz? I wszyscy są oburzeni...

— Co?!

Józia tak się zdumiała, że zerwała się z fotelu i zepchnęła ze swoich kolan kota, który z głośnym miauknięciem skrył się pod kanapę.

— Co?! Co ciocia mówi?!... To ja niby mam bałamucić Rogoziewiczą, a on się we mnie kocha?... Nie! Wiecie, moi państwo, że to jest nadzwyczajne, paradne!...

I nagle zaczęła się śmiać szczerym, młodzieńcym, zanoszącym się śmiechem.

— Nie! Doprawdy, to można zachorować, to można pęknąć ze śmiechu!... Coś takiego! Ha! ha! ha!

Panna Antonina surowo spojrzała na śmiejącą się dziewczynę.

— Nie masz się czego tak śmiać. To bardzo smutne, że takie wieści krążą! Nie trzeba dawać pozorów...

— A cóż ja temu jestem winna, że tutejsze plotkarki w braku lepszego zajęcia wymyślają takie brednie niedorzeczne!... Żeby nie zostawić w spokoju chorego kaleki i mnie posadzać, że bałamucę czterdziestoletniego, żonatego człowieka, który ma troje dzieci!... No, ciociu, czy ciocia się także nie śmieje?...

Ale ciotka nie śmiała się bynajmniej. Ręce z robotą opuściła na kolana i zaczęła dobitnym głosem:

— Moja kochana, ja nie jestem roztrzępaną, lekkomyślną kozą, żebym się śmiała bez po-